ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Czerwca. № 22. Roku 1857.

JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK
o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661.

przez

W. Łoz.

(Ciąg dalszy.)

IV.
Nowe zmiany losu.

Nagły i niespodziewany zwrot szczęścia zawdzięczają Polacy przedwszystkiem walecznej obronie Częstochowy. Pokrzepiając odwagę stronników Jana Kazimierza, uskromiła ona zarazem butę zwycięzców, którzy upojeni ciągłą pomyślnością, mniemali się już niepokonanymi.

Inny też obrót wzięła niebawem cała wojna, zwłaszcza gdy na czele Polaków stanął wielki wódz Czarnecki. Długi szereg wielkich i świetnych zwycięztw złomał przewagę szwedzkiego oręża, a sam Karol Gustaw otoczony ze wszystkich stron pod Sandomierzem, cudem tylko zdołał ujść polskiej niewoli. Koroną wszystkich tych świetnych czynów było zdobycie Warszawy, której w długiem obleżenin bronił naczelny wódz armii szwedzkiej marszałek Wittemberg.

Podczas całego oblężenia musiałem stać załogą w Małych Łumuach, dziedzictwie wielkiego koniuszego koronnego najstarszego z braci Lubomirskich, aby bronić zamku od wszelkiego napadu. Tylko w czasie szturmu podjeżdżałem pod miasto i brałem udział w walce.

Czas mojego wypoczynku w Małych Łumuach nie należał jednak do najprzykrzejszych chwil mojego życia, owszem pozostanie mi on zawsze bardzo miłym i drogim w pamięci.

Stałem na kwaterze w mieszkaniu podstarościego Arciferskiego. Byłto bardzo zacny i poczciwy staruszek, zajęty cały dzień sprawami swojego obowiązku. Rządy w domu sprawowała pani podstarościna, kobieta równie podeszła w leciech i równie; też zacna, a przytem niewymownie miła, uprzejma i gościnna.

Widząc we mnie młodego cudzoziemca, oddalonego od ojczyzny, rodziny i przyjaciół, polubiła mię jak rodzonego syna; i nie mogła okazać mi dość szacnnku i życzliwości.

Wszakże wszystko to nie ujęło mię tyle, co jedno spojrzenie czarnych iskrzących oczu jej szesnastoletniej córki, wesołej, figlarnej i szczebiotliwej jak ptaszę polne.

Jejto zawdzięczam moją znajomość języka polskiego, bo kiedy mowa oczu nie wystarczała już do wyrażenia tego wszystkiego, co tlało w naszych sercach, nie uspokoiło się dopóty młode dziewczę, dopóki nie wyuczyło mię mówić po swojemu. Prawda że z niewielką przyszlo jej to trudnością, bo nader pojętnego miała we mnie ucznia, zwłaszcza gdy nauka nasza rozpoczęła się od najponętniejszego w każdym języku słowa: „Kocham.“

Wkrótce też mogliśmy już swobodnie z sobą rozmawiać, mogliśmy tłumaczyć słowami poprzednie wyrażenia oczu naszych, a do wszelkich zwierzeń nie potrzeba nam było niemych znaków.

Miłość też nasza rosła z każdym dniem, a poczciwa matka nietylko nie sprzeciwiała jej się w niczem, ale owszem wspierała ją sama, tusząc że związek małżeński pobłogosławi nasze wzajemne przywiązanie.

Do tego acz wielce dla mnie wówczas ponętnego kroku nie mogłem się przecież w żaden sposób odważyć, oddany jeszcze duszą i ciałem wszystkim owym nadziejom i marzeniom, które mię wypchnęły z ojczyzny, z koła rodziny, a zagnały w strony tak obce i dalekie.

Z bólem serca zbywałem omijającemi odpowiedziami matkę i córkę, a potem rad byłem w duszy, gdy nagły napad Szwedów oderwał mię na zawsze od jej boku. Uchroniłem ją wprawdzie od niewoli szwedzkiej, uwożąc ją do zdobytej Warszawy, lecz zaraz nazajutrz rozstałem się z niebogą bez pożegnania.

Podczas mego pobytu w Małych Łumnach uzbierałem był i małą sumkę pieniędzy po części od chłopów, a częścią od szlachty okolicznej. Jedni i drudzy płacili mi tygodniowo

po kilka złotych, abym ich bronił od wszelkiego napadu własnych rozpasanych żołnierzy.

Od chłopów otrzymałem nadto 16 zł. w darze za to, żem pozwolił im schronić się z bydłem na małą wysepkę w Wiśle.

Nowy nagły obrot wypadków wojennych nadał i losom moim wcale nieprzewidziany kierunek. Po tylu świetnych zwycięztwach nad nieprzyjacielem zwolniał zapał drobniejszej szlachty polskiej, i kupa po kupie zaczęła rozpierzchać się do domu. Ani król ani Czarnecki nie śmieli zniewalać ich do dalszej służby, aby nie wzbudzać niechęci ku tronowi, która i tak już coraz bardziej szerzyła się między szlachtą.

Tymczasem rozdrobienie sił polskich posłużyło wielce Szwedzkiemu Karolowi. Połączywszy się z wojskiem elektora Brandeburskiego, związanego z Szwecyą nowem ściślejszem przymierzem, nadciągnął Karol Gustaw naprzeciw zwycięzkiej armii polskiej.

Pod murami Warszawy stoczyła się nowa walna bitwa między obudwoma armiami, a szczęście uśmiechnęło się na nowo szwedzkiemu orężowi. Polacy odnieśli bardzo dotkliwą stratę, i musieli w nieładzie uchodzić z Warszawy.

Ja miałem udział w całej bitwie, a uchodząc z placu po doznanej klęsce, zwróciłem się wraz z kilką innymi cudzoziemcami ku Łowiczowi, gdzie stał dość liczny oddział polski, i gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wielu rodaków. Inaczej jednak rozrządził nami przypadek.

Nie ujechawszy jeszcze czterech mil za Warszawę, natrafiliśmy na hufiec brandeburskich rajtarów, który tak nagle i w tak przeważnej zaskoczył nas sile, że niepodobna było pomyśleć ani o obronie ani o ucieczce.

Poddaliśmy się wszyscy bez oporu. Ja z swojej strony aby nie doznać przykrości w niewoli, oświadczyłem brandeburskiemu rotmistrzowi, iż właściwie jestem żołnierzem szwedzkim z korpusu jenerała Douglasa, i że tylko z przymusu służyłem w szeregach polskich, dostawszy się w niewolę pod Rymanowem.

Na to zeznanie odesłał mię rotmistrz do korpusu jenerała Douglasa, którego prawdę mówiąc w życiu mojem nigdy nie widziałem, odbywając pierwszą służbę moja u Szwedów pod rozkazami Pontusa de la Gardie.

W niemałym też znalazłem się kłopocie, gdy mię postawiono przed oblicze Douglasa, lecz na szczęście po kilku zapytaniach wyświeciła się cała sprawa. Jenerał kazał mi zaraz powrócić wolność, a rotmistrz brandeburski oddał mi z własnego popędu konia i cały rynsztunek.

Na usilne namowy samego Douglasa i kilku innych oficerów szwedzkich dałem się nakłonić do przyjęcia napowrót służby w szwedzkich szeregach, a w ten sposób ujrzałem się w niespełna dwóch latach po raz drugi wrogiem moich niedawnych polskich przyjacioł.

V.

Michałko.

Mimo świetnego zwycięztwa pod Warszawą i nowego przymierza z Siedmiogrodzkim Rakocym nie sprzyjało już dawne szczęście szwedzkiemu orężowi.

Owszem położenie Karola Gustawa zaczęło coraz to bardziej pogorszać się w dalszym biegu wypadków.

Straszny Czarnecki dojmował mu co chwila nowym mniej więcej dotkliwym ciosem, elektor Brandeburski słabnął widocznie w przyjaźni, Danija wypowiadała wojnę otwartą, a cesarz Leopold zawierał przymierze z Janem Kazimierzem i słał posiłki do Polski.

Pomoc Rakocego nie przyniosła bynajmniej spodziewanych owoców i wyszła tylko na zgubę jemu samemu. Jerzy Lubomirski niszczył mu ogniem i mieczem ojczysty Siedmiogrod, a obsaczywszy potem wszystkie wąwozy i przesmyki Karpat, odciął odwrot z Polski.

Nieszczęśliwy książę, wplątany jednocześnie w wojnę z cesarzem, a pozbawiony wszelkiej pomocy upadających w potędze Szwedów, musiał nakoniec z całą armią poddać się Polakom, i obietnicą drogiego okupu ratować od niewoli własną osobę.

Zupełne odstrychnięcie się elektora Brandeburskiego osłabiło Szwedów do reszty, a kiedy Czarnecki z coraz większym impetem nacierał z przodu, pojawił im się w tyle w Prusiech koronnych nowy wcale niespodziewany nieprzyjaciel.

Byłto zbieg od własnych sztandarów, były kapral w szwedzkich szeregach, imieniem Michałko, który stanąwszy na czele licznej tłuszczy opryszków i innego motłochu, rozpoczął w Prusiech na własną rękę wojnę z najeźdcami.

Szczególniejszy ten człowiek, syn prostego chłopa w Prusiech koronnych, zaciągnął się był w młodych leciech w służbę Szwedów, a zostawszy u nich kapralem, przeszedł do

Polaków, gdy zdobywali klasztor Peplin czy Soplin.

Nie będąc szlachcicem, nie mógł spodziewać się świetnej karyery w wojsku polskiem. Obdarzony jednak rzadkiem męztwem, ambicyą i duchem przedsiebiorczym, pragnął koniecznie wyszczególnić się w wojnie i dobić się losu wyższego nad urodzenie swoje.

Wymknąwszy się też od Polaków, schronił się w lasy, a w krótkim czasie nagromadził wokoło siebie liczną bandę opryszków.

Znając każdą ścieżkę, każdy wąwóz, każdy przesmyk w kraju wypadał co chwila na mniejsze oddziały Szwedów, odcinał im dowozy z żywnością, i chwytał w zasadzki wyższych nawet oficerów.

Im szerzej też rozgłaszała się jego sława, tem bardziej wzmagał się natłok do jego bandy, i rosła jego zuchwałość i przedsiebiorczość. Nagłym napadem udało mu się zająć z czasem warowne miasteczko Słuchów, gdzie główną swą założył siedzibę, i zkąd wszystkie podejmował wyprawy. Poźniej zdobył jeszcze dwa inne miasteczka, i zaczął niepokoić większe nawet oddziały szwedzkie.

Powoli przyszło do tego, że sama szlachta zapomniała o jego nizkiem pochodzeniu, i ztąd i owąd garnęła się pod jego rozkazy, a gdy nagle po zawartem przymierzu z Polakami Austryacy i Brandeburczycy wkroczyli do Prus koronnych i oblegli Toruń, przewodził Michałko tak znacznym siłom, że zamki Stargard i Lipinki nie mogły oprzeć się jego szturmom.

I teraz dopiero dojmował Szwedom do żywego. Obeznany dobrze z całą okolicą, pojawiał się nagle w miejscach, gdzie go się najmniej spodziewano, a poruszał się tak szybko z swoim korpusem, jakgdyby w jednej i tejsamej chwili w kilku naraz dokazywał stronach.

Liczniejszych oddziałów Szwedów nie napastował nigdy w otwartem polu, lecz w lasach i pomiędzy górami porywał się i na dwójnasób możniejsze siły.

Nieraz docierał aż do samych murów tego lub owego miasta, siekł i więził Szwedów po drodze i gdziekolwiek ich w mniejszej napotkał liczbie, a zanim jeszcze jaki silniejszy oddział mógł zebrać się przeciw niemu, był już daleko i napadał nowe hufce i transporta szwedzkie o kilkanaście mil od miejsca, gdzie go tropiono.

Napróżno kusili się najezdzcy wszelkiemi siłami ukrócić jego zuchwałość, Michałko spadał nagle jak grom to tu to tam, a znikał bez wieści, zanim jeszcze ochłonięto z pierwszego wrażenia.

Dumny z swojego powodzenia, przyjął potem tytuł rotmistrza, i uorganizował swoją bandę na sposób wojskowy.

Niespodziewanie jednak przebrała się miarka jego pomyślności. Gdy Austryacy i Brandeburczycy odstąpili od oblężenia Tornnia i cofnęli się w głąb kraju, nie chciał Michałko połączyć się z nimi, ale zawarłszy się z bandą w Stargardzie, przemyśliwał nad nową wyprawą.

Doszło to jakimś sposobem do wiadomości szwedzkiej załogi w Toruniu, a dowódzca umyślił korzystać z sposobności, i dostać w swoje ręce tak niebezpiecznego przeciwnika. Wśród ciemnej nocy wyprawił się też z znacznym hufcem z twierdzy, i otoczył Stargard dokoła.

Michałko spostrzegł dopiero nazajutrz obsaczenie zamku, a za słaby aby się przebić lub wytrzymać dłuższe oblężenie, wdał się w układy z nieprzyjacielem. Szwedzi pozwalali całej załodze opuścić zamek z bronią i wszystkiemi bagażami, a żądali tylko wydania zuchwałego dowódzcy.

Aby ocalić towarzyszy, wydał się Michałko sam w ręce rozsrożonych Szwedów. Odwieziono go zaraz jako zbiega od sztandarów szwedzkich pod zbrojną zasłoną do Malborga, a tam za wszystkie burdy i przestępstwa czekał go surowy sąd wojenny.

Na szczęście król Jan Kazimierz dowiedział się w porę o wszystkiem, i wysłał też w skok posłów do Szwedów, wstawiając się za Michałkiem jako swoim poddanym, i grożąc w przeciwnym razie użyć represaliów.

Pogróżka ta zhamowała zawziętość Szwedów, bo w ręku Polaków znajdowało się prócz marszałka Wittemberga jeszcze wielu innych dostojnych Szwedów.

W ten sposób ocalał Michałko, zaledwie jednak wypuszczono go na wolność, zaczął broić na nowo. Resztki dawnej bandy pospieszyły nazad pod jego rozkazy na pierwszą wieść o uwolnieniu, a niebawem ujrzał się Michałko na czele nowej licznej i bitnej tłuszczy, gotowej prowadzić do upadłego zaczęte dawniej rzemiosło.

Niemało też dokuczył on jeszcze Szwedom w ostatnich czasach wojny, i zasłużył sobie dobrze na godność szlachecką i stopień rotmistrza, któremi w nagrodę zasług obdarzył go poźniej Jan Kazimierz.

*

VI.

Niewola.

Nie porzucając się już korpusu Douglasa, służyłem w dalszym ciągu wojny w jego kompanii przybocznej, a miałem udział we wszystkich prawie ważniejszych walkach z Polakami.

Dnia 5 stycznia 1657 polecił mi naczelny wódz eskortować dwa wozy z żywnościami, idącemi do Grebina. Spełniłem zlecenie bez wszelkiej przygody, i już wracałem do swoich, gdy tuż w pobliżu Grebina dopędziło mię dwóch jeźdzców.

Powierzchowność ich nasuwała niejakie podejrzenie, postanowiłem też mieć się na ostrożności. Odskoczywszy z koniem na bok, gdy się zbliżyli, odwiodłem kurki od pistoletów, i zapytałem, co są za jedni.

Obadwaj parsknęli na to śmiechem, i odpowiedzieli z największym spokojem, że należą do armii szwedzkiej, i służą w korpusie Douglasa.

Spokój ich zażegnał moje podejrzenie. Zacząłem się już wstydzić mojej bojaźliwości, i wszcząłem zaraz poufną z nimi rozmowę. Jeden z nich przybliżył się do mnie, i zapraszał mię zcicha do wspólnego napadu na jakiś pobliski zamozny dom szlachecki.

W ciągu jego mowy, straciłem z oczu drugiego towarzysza i nie spostrzegłem bynajmniej, jak nagle pistolet z odwiedzionym kurkiem przyłożył mi do piersi, i zawezwał do poddania się.

Nie mogąc się bronić w takiem położeniu, uległem nieprzewidzianemu losowi. Obadwaj napastnicy wyzuli mię z broni, i wziąwszy z koniem między siebie, popędzili co tchu ku Gdańskowi, lękając się zapewnie szwedzkiej załogi w Grebinie.

Dopiero o dobrą staję za tem miastem przystanęli na drodze, i zaczęli przetrząsać moje kieszenie. Szczęśliwym trafem ukrywałem moją kiesę w tak dobrem miejscu, że prócz kilkunastu groszy nie udało im się nic wytrząść u mnie.

Zawiedzieni w nadziejach prowadzili mię dalej w kwaśnym humorze do Gdańska; nagle przyszła jednemu z nich myśl do głowy, abym zamieniał się z nim na buty.

Zamiana taka nie była mi bynajmniej pożądaną, bo moje buty były jeszcze wcale nowe i dobre, jego zaś niezgrabne i dziurawe, lecz niepodobna się było opierać przemocy. Przezwalając na żądaną zamianę, nie mogłem zataić mojego gniewu, i rzekłem do nich z goryczą:

— „Kiedy już tak niegrzecznie i nie po ludzku obchodzicie się ze mną, tedy pozwolicie przynajmniej że sam nie będę dla was ściągał butów. Wyzujcie mię jeśli chcecie.“

Nie obrazili się tem bynajmniej, owszem zabrali się do dzieła z największą gotowością. Przy tej sposobności poznałem po ich grubych rękach i zgrzebnych koszulach, że obadwaj musieli być prostymi chłopami.

Spostrzeżenie to bardzo niemiłem przejęło mię uczuciem. Poczytałem sobie za hańbę niezmazaną, iż tak łatwo dałem się ułowić w sidła, i złożyłem broń przed dwoma prostymi chłopami.

Dotknięty do żywego pofolgowałem językowi, i łżąc z całego gardła moich zwycięzców, oświadczyłem stanowczo, iż nie zezwalam w żaden sposób na zamianę butów, a za podobne obchodzenie się ze mną wniosę żałobę przed dowódzcą w Gdańsku.

Nagła zmiana mego głosu i sposobu mówienia zdziwiła i zniepokoiła obudwóch chłopów. Zrzekli się zaraz butów, i zachowali się już o wiele skromniej i grzeczniej w ciągu dalszej podróży.

Nad wieczorem stanęliśmy w Gdańsku. Zaprowadzono mię natychmiast przed oblicze komendanta, pułkownika Winter.

Pierwszym jego zapytaniem było zkąd przybywam i w jakim służę korpusie. Na moją odpowiedź iż zostaję w przybocznej kompanii Douglasa, zawołał uradowany:

— „Ah, dostaliśmy przecie jednego z tych ptaszków Douglasowskich.“

— „Tylko fortelem“ — odrzekłem obrażony.

— „Mniejsza o to“ — odparł jenerał. — „W wojnie uchodzi wszystko, czasem lepszy fortel niż najzapamiętalsza waleczność.“

Potem zaczął mię wypytywać o stan i rozkład armii szwedzkiej, a wciągnąwszy w spis jeńców wojennych, kazał mię odprowadzić do więzienia. Zastałem tam do czterechset jeńców szwedzkich, ściśnionych w jednym pokoju. Dla zbytniej zaduchy mogli wszyscy cały dzień przechadzać się po dziedzińcu. Nazajutrz spotkałem się tam z jednym z owych chłopów, którzy mię ujęli w niewolę.

Chcąc się pomścić na nim w jakikolwiek sposób, przystąpiłem do niego, i rzekłem mu z szyderstwem:

— „Nie rozumiesz się chłopie na rzemiośle wojennem, patrz jak pięknej pozbawiłem cię sumki.“

To mówiąc dobyłem z zanadrza z pewnej skrytej kieszeni moją kiesę z stoma talarami, i przyłożyłem pod nos zdumionemu chłopowi. Myślałem że na ten widok wszystkie włosy wyrwie sobie z głowy, tak wielkim unosił się żalem.

Pobiegł też co tchu do komendanta, prosząc aby mi odebrał przemocą ukryte pieniądze. Komendant naśmiał się do rozpuku, i wytłumaczył biednemu chłopowi, że tylko w chwili pojmania wolno odzierać jeńca.

A dzięki mojej sumce ocalonej przepędziłem czas mojej niewoli nie tak ciężko i smutnie jak reszta jeńców, których całe jadło składało się na dzień z bocheneczka chleba i szklanki piwa.

Po niewielu dniach niewoli przybyło do nas kilku oficerów załogi, aby nas nakłonić do zaciągnięcia się pod standary Gdańszczan. U mnie wszelkie podobne namowy nie miały najmniejszego skutku, jużto że jako szlachcic nie chciałem służyć mieszczanom, juz że pałałem żądzą pomszczenia hańby, jaka mię od prostych chłopów spotkała. Naprożno silił się także przełomać mój opór jeden z moich rodaków w słuzbie Gdańszczan. Oparłem się wszelkim przedstawieniom, i wolałem pozostać w niewoli. Na szczęście nie trwała ona zbyt długo.

Na żądanie jenerała Douglasa wymieniano mię wkrótce za jednego z znakomitszych jeńców gdańskich.

Dostawszy się napowrot do Szwedów, musiałem zaraz w kilka dni po wyjściu z niewoli podjąć na czele szczupłego hufcu małą wycieczkę w okolicę, aby zasięgnąć języka o nieprzyjacielu.

Przy tej sposobności nie ominęła mię dość nieprzyjemna przygoda. Ujechawszy z mym pocztem zaledwie o milę od obozu, posłyszałem w nieznacznej oddali głośny jek i płacz kobiecy.

Zwracając się cożywo w tę stronę, dojrzałem niebawem kilkunastu finlandzkich żołnierzy, uwożących jakąś młodą Polkę z jednego z pobliskich dworków szlacheckich.

Byłato prześlicznej urody dziewczyna w pierwszym kwiecie młodości, o jasnych włosach i cudownych oczach błękitnych.

Niepodobna było pozostać nieczułym, słysząc jej rozdzierające jęki i płacze, i widząc dzikie i rubaszne postępowanie uwożących ją Finlandczyków. Pospieszyłem też bez namysłu ku jej obronie, i zażądałem od rozpasanych żołnierzy aby ją puścili na wolność.

Widząc się w daleko przeważniejszej sile, odpowiedzieli Finlandczycy głośnem szyderstwem na moje przedstawienia, nie szczędząc przytem ubliżających pogróżek.

Nie wiedziałem sam co począć w tak przykrem położeniu, wszakże patrząc na przestrach i rozpacz pięknej Polki, i słysząc jej prośby i zaklęcia, uniosłem się tak srogą zapalczywością, iż nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, ciąłem zaraz w głowę żołnierza, który piękną brankę trzymał w swoich ramionach.

Za mną poszedł cały mój poczet, i niebawem wszczęła się zawzięta walka między nami. Nieprzygotowani na napad z naszej strony Finlandczycy, nie zdołali dotrzymać nam placu, lubo prawie w dwójnasób było ich więcej. Po krótkiej walce umknęli z pola, a piękna Polka dostała się w nasze ręce. Postanowiłem ją sam odwieść do domu, uspokajając według sił moich jej trwogę i przerażenie.

Po krótkiej podróży stanęliśmy przed dworem zamożnego szlachcica Koryckiego, który poznając w uwolnionej brance swoją bliską krewną, odebrał ją zpod mojej pieczy, i ofiarował mi dziesięć dukatów okupu.

Zachwycony pięknością młodej Polki, poczytywałem jej szczerą podziekę, jedno spojrzenie jej oczu, jeden uśmiech jej twarzy, za cenniejszą nagrodę od wszelkich skarbów świata, i nie przyjąłem ofiarowanej mi sumy, lubo wcale nie opływałem wówczas w gotówkę.

Tymczasem za napad i pobicie Finlandczyków czekała mię w obozie nietylko odpowiedzialność przed rotmistrzem, ale także i nowe zajścia z Finlandczykami, którzy przysięgli pomścić się swej krzywdy.

Wybrnąłem jednak z całego niebezpieczeństwa po części łaską rotmistrza, częścią zaś nowym nieprzewidzianym zbiegiem wypadków. Albowiem w kilka dni po tej przygodzie dostałem się wraz z rotmistrzem i kilku innymi oficerami w niewolę Austryaków.

Udało mi się wprawdzie umknąć ztamtąd szczęśliwie, lecz nie chciałem już powrócić do korpusu Douglasa, a po wielu prośbach i zabiegach powiodło mi się uzyskać stopień chorążego w pułku dragonów pułkownika Andersena. Niedługo wszakże miałem cieszyć się moją nową godnością.

Zdawało się że jakieś fatalne ciężyło na mnie przeznaczenie, przerzucające mną od jednych sztandarów do drugich.

Zaledwie uszedłszy z rąk Austryaków, miałem wkrótce dostać się w nową niewolę i pożegnać na zawsze szwedzkie chorągwie.

Stojąc załogą w Sztumie, otrzymałem rozkaz od mego pułkownika uderzyć na oddział Polaków, który w 15 do 20 ludzi miał ukazać się niedaleko od miasta.

Wyruszyłem z Sztumu na czele dwudziestu czy trzydziestu dragonów, a ujechawszy dobrą staję od miasta, natrafiłem w samej rzeczy na nieliczny oddział Polaków. Wszczęła się zaraz krwawa walka między nami, gdy wtem rozległ się tentent z boku, a moi dragoni poczęli co sił stało umykać do miasta. Widząc się zupełnie opuszczonym, chciałem i ja pojść za ich przykładem, zwłaszcza gdy dolatujący mię z boku tentent świadczył o znacznym posiłku polskim.

Na nieszczęście miasto uciekać prostą drogą, pomknąłem w pobliskie krzaki aby zasłonić się od strzałów prześladowców. Tu jednak koń mój zaplątał sie w chaszczach, a obskoczony ze wszystkich stron musiałem poddać się nieprzyjacielowi.

Dowodził nim tutaj ów słynny Michałko, o którym już dawniej wspominałem. Banda jego składająca się teraz z samych opryszków i hultajów byłaby mię odarła do koszuli, a może nawet i rozsiekła w kawałki, gdyby nie wdanie się samego Michałka i rotmistrza Działyńskiego, przewodzącego małemu hufcowi szlachty.

Dzięki też ich obecności nie doznałem żadnej krzywdy. Działyński kazał mi nawet dać konia, abym nie wlókł się pieszo przy konnym hufcu, który odstawiał mię do Christburga, gdzie podczas słabości wojewody sandomirskiego dzierzył dowództwo chorąży koronny, Jan Sobieski. (D. c. n.)

Biblioteki panów polskich.

W pośmiertnem wspomnieniu ś. p. Konstantego Świdzińskiego, zmarłego niedawno założyciela nowej publicznej biblioteki w Warszawie, przytacza p. Julian Bartoszewicz w *Bibliotece Warszawskiej* wiele innych bogatych księgozbiorów, wzniesionych również prywatnemi środkami.

— „Dzieje nasze“ — mówi p. Bartoszewicz w ciągu artykułu — „niewiele zapiszą tych pięknych imion zasługi, które się na tem polu oświaty narodowej chlubnie odznaczyły takiemi fundacyami, jaka jest Świdzińskiego. Najznakomitsze tutaj nazwisko będzie uczonego Józefa Jędrzeja Załuskiego, biskupa Kijowskiego, któremu wyłącznie należy się sława założenia pierwszej publicznej biblioteki w Polsce. Mógł zapewne większemi środkami rozporządzać Załuski jak Świdziński, lubo obadwaj mieli równą miłość do zbierania książek. Załuski z domu możny, miał jeszcze na zawołanie swoje dochody kilku zamożnych opactw polskich i francuzkich, i miał także stanowisko w rzeczypospolitej, w duchowieństwie, które mu bardzo ułatwiało zbieranie: jako biskup np. wchodził wszędzie do klasztorów. jako senator do dworków szlacheckich, miał do tego brata biskupem Krakowskim, który książęce posiadał dochody, a pomagał mu z serca; tożsamo miał ogromną rodzinę, która po wszystkich stronach polskich rozrzucona, o zapale jego do zbierania książek pamiętała; umiał zresztą żyć tylko chlebem i wodą, żeby oszczędzić grosze na książki.

Do tego Załuski pierwszy w Polsce zbierał. To wszystko przyczyniło się cudownie ku temu, że Załuski dźwignął gmach jeden z najokazalszych, *erexit monumentum:* jedynato fundacya jaka stanęła jeszcze za rzeczypospolitej.

W późniejszych już czasach Józef Maxymilian Ossoliński wzniosł wielki gmach oświaty narodowej we Lwowie. Byłto zakład temważniejszy, że połączony z rodzajem towarzystwa naukowego, miał pomiędzy innemi w zadaniu swojem czynnie popierać literaturę, wydawać pismo literackie i drukować ważne dzieła.

Trzeci podobny zakład stanął w Poznaniu wielkim nakładem Edwarda Raczyńskiego. W tych dniach powstaje czwarty nowy tego rodzaju zakład w Wilnie przy komisyi archeograficznej tamże założonej, którymśmy winni obywatelskiej gorliwości Eustachego Tyszkiewicza. Najznakomitszeto zakłady bo już na publiczny oddane użytek i dla wszystkich są otwarte, a do tego w miastach które z położenia swego i z historyi są albo były stolicami różnych narodowości polskich a nawet niegdyś narodów.

Nie wspominaliśmy tutaj nic o bibliotekach rządowych, których mieliśmy i mamy bogatych kilka, np. o bibliotece publicznej w Warszawie (dziś Okręgu naukowego), o bibliotece Towarzystwa przyjacioł nauk lub uniwersytetu Jagiellońskiego.

Mamy i prywatne znakomite biblioteki, które już położyły swoje zasługi dla literatury. Najgłośniejszą z nich była w swojem czasie porycka, z której niezmiernych bogactw, ogromne tomy erudycyi swojej wypisywał Czacki.

Biblioteka puławska Czartoryskich urządzała w swoim czasie wydawnictwo dzieł; kilka znakomitych utworów z niej wyszło, nawet kilka ważnych materyałów historycznych; gdyby nie wypadki wojenne, do dziśdnia zapewne dzieła wydawnictwa puławskiego złożyłyby osobną bibliotekę.

Dzisiaj powszechną zwraca na siebie uwagę biblioteka kurnicka Tytusa Działyńskiego: wychodzą z niej dzieła tak znakomite powagą i treścią, że nakładów tych z niczem innem w literaturze naszej porównać nie można. Raczyński wiele robił na drodze wydawnictwa, ale wiecej jeszcze robi Działyński. Tu już najszlachetniejsze poświęcenie się i miłość dobra ogólnego przewodniczą w sprawie szlachetnie podjętej i szlachetnie prowadzonej. Jedno wydanie aktów Tomickiego mogłoby unieśmiertelnić wydawcę, jedno wydanie Długoszowego dzieła: *Lites ac res gestae inter Polonos et ordinem cruciferorum*; a tutaj tyle innych dla oświaty wielkich dobrodziejstw!

Uczonym znaną też jest biblioteka Tarnowskich w Dzikowie, w której pomiędzy innymi gościł i wiele nieznanych światu uczonemu znalazł dzieł Wacław Alexander Maciejowski.

Biblioteka szczorsowska Chreptowiczów mało w ogóle znajoma, posiada też swoje acz maluteczkie zasługi. Wydano z niej pamiętniki Samuela Maszkiewicza i kilkadziesiąt listów różnych osób historycznych w Wizerunkach wileńskich.

O rzadkościach niegdyś biblioteki piotrowickiej Koźmianów pod Lublinem, dziś sprzedanej Branickim, wiemy także cokolwiek z pism poznańskich. Nie zasłużyła się jeszcze niczem względem kraju, dla uczonych nawet niebardzo dostępna albo wcale niedostępna.

Z większych bibliotek podobno bardzo bogata ordynacyi Zamojskiej w Warszawie i wilanowska, którą kiedyś przypomniał światu Hipolit Kownacki, dalej horodecka Urbanowskiego, który także podobno z namiętnością zbierał rzadkości i nagromadził ich wiele, a z której wiele spisanych bibliograficznych rzadkości spłynęło do dzieł Jochera.

O mniejszych bibliotekach nie ma co mówić. Dzisiaj w tej chwili dochodzą nas wieści, że majętny dziedzic w Galicyi Wiktor Baworowski, postanowił także wznieść bibliotekę jako zakład naukowy. Byłbyto fakt pocieszający, który dowodził że bierzemy się seryo do nauki.

Dotychczasowym usiłowaniom nie wiodło się, dzisiaj, kiedy zdaje się namiętności cokolwiek przycichły, kiedy doświadczeniem staliśmy się mędrszymy, kiedy pracować sami musimy nad sobą, takie jednakowe dwa fakta a jednocześnie prawie przypadłe, jakiemi są: fundacya Świdzińskiego i zapowiedziana fundacya Baworowskiego słusznie raduje wszystkich ludzi myślących. Bo i Świdzińskiego zakład ma być zakładem naukowym w rodzaju muzeum Ossolińskiego we Lwowie: nietylko nasza biblioteka ma być składem książek i służyć użytkowi publicznemu, ale ma się trudnić wydawnictwem na szerszą skalę materyałów historycznych, do czego położył już zasadę sam Świdziński zbiorami swojemi, służąc komisyi archeograficznej w Kijowie, która z nich wiele ogłosiła w swoich pamiętnikach.

Instrument milczenia. „W składzie kajdan, okowów i rozmaitych przyborów, służących do poskromienia niesfornych więźniów w Manchester“ — opowiada podróżnik francuzki Krzysztof *Moreau* — „spostrzegłem także szczególniejszy przyrząd, nazwany przez zgrzybiałego dozorcę więzienia instrumentem milczenia. Wyglądał on jak hełm siatkowy, a składał się z samych silnych żelaznych obręczy, które wszerz i wzdłuż tak mocno ujmowały w karby głowę ludzką, iż gęba musiała być zawsze przymknięta. Aby jednak nie zatamować oddechania, wystaje nos wolno z siatki, a obie szczeki rozpiera cokolwiek mały języczek żelazny sięgający aż do samego gardła. W takim stanie może człowiek oddechać jak najswobodniej, lecz nie zdoła wydobyć z siebie najcichszego głosu. Pokazując i objaśniając mi dziwny ten instrument, zapewniał mię stary dozorca, że służył on zwyczajnie ku poskromieniu krzykliwości kobiet.“— „Czy i dziś jeszcze używają go w podobnych wypadkach?“ — zapytałem ciekawie. — „Bardzo rzadko“ — odpowiedział sędziwy dozorca. „Nigdy“ — poprawił spiesznie młody aktuaryusz.“ — Szkoda! powie może niejeden z małżonków, któremu ten instrument wyda się najciekawszym i najzbawienniejszym wynalazkiem średnich wieków.

Sztuczne klejnoty. Tyloletnie zabiegi fizyków, aby za pomocą chemii tworzyć sztuczne klejnoty, wróżą nakoniec pożądany skutek. Doprowadził już do tego paryzki chemik *Gaudin*, że sztuczne szafiry białe jego wyrobu nie ustępują co do twardości naturalnym, a często dość znacznych dochodzą rozmiarów. Tensam chemik wynalazł także czarny do szkła podobny kamień, nie ustępujący pod względem hartu samemu dyamentowi. Wynalazki podobne stają się tempożądańsze, ile że klejnoty natnralne coraz wyżej wznoszą się w cenach o zamówienia u jubilerów francuzkich zwiększają sie z każdym nowym rokiem. W jednym Paryżu istnieje dziś do tysiąc pięćset fabryk złotniczych, każda z nich zatrudnia w przecięciu do ośmiu wyrobników, a sam wywóz klejnotów za granicę dosięga rocznie wartości najmniej dwudziestu milionów franków.

Chciwość ukarana. Przy jednej z ludniejszych ulic Paryża odbywała się temi dniami publiczna licytacya. Jakaś biedna wdowa nie mogła zapłacić czynszu, a nielitościwy właściciel kamienicy wystawił na sprzedaż jej sprzęty ubogie. Właśnie wywoływano jakiś stary wypłowiały obraz, gdy szcze-

gólniejszy przypadek nadniosł do pokoju sławnego malarza X. Zapragnął on bliżej przypatrzyć się malowidłu, a oglądnąwszy je na wszystkie strony z miną znawcy, zapytał o cenę. „Jeden frank“ — odrzekł woźny. „Sto franków!“ — krzyknął prędko artysta. — „Oho“ — pomyślał sobie na to chciwy właściciel kamienicy — „kiedy tak znakomity malarz daje sto franków od razu, toć musi to być malowidło niezwyczajnych zalet i przynajmniej dziesięć razy większej wartości.“ — Polegając też na takiem rozumowaniu, ofiarował dwa razy tyle. „Pięćset franków!“ — zawołał artysta z niecierpliwością.“ — „Sześćset!“ — krzyknął skąpiec. I obadwaj zaczęli się pędzić z taką zawziętością, że oceniony pierwotnie na jeden frank obraz doszedł w kilku chwilach wartości dwu tysięcy. — „Dwa tysiące dwieście!“ — ofiarował dalej artysta. — „Dwa tysiące trzysta“ — poprawił skąpiec. Po tych słowach nastała cisza grobowa, artysta zamilkł, skąpiec zwyciężył. — „Po raz drugi... po raz trzeci!“ — powtarzał woźny, i uderzył nakoniec młotkiem o stół. Chciwy nabywca wypłacił należytość, a przystąpiwszy po chwili do zawziętego współzawodnika w kupnie, zapytał go jaką wartość ma nabyty obraz dla miłośnika. — „Możesz się pan nazwać szczęśliwym, jeśli weźmiesz za niego trzy franki i pięćset centymów.“ — „Jakto? pan żartujesz?“ — „Bynajmniej!“ — „Ależ dawałeś przecie sam dwa tysięcy dwieście franków.“ — „W samej rzeczy; lecz chciałem tylko w ten sposób dać nauczkę człowiekowi, który mając 25000 rocznego dochodu, grabi ubogą wdowę za lichych 200 fr. czynszu. Liczyłem na pańską chciwość, i nie omyliłem się w rachubie a dzięki Bogu dopomogło to nieszczęśliwej wdowie.“ To mówiąc ukłonił się przerażonemu skąpcowi, i wybiegł spiesznie z pokoju, a słycha że na przyszłą wystawę przygotowuje obraz, przedstawiający publiczną wyprzedaż ubogiej wdowy.

Poczciwy ekonom. Jak szególniejszych środków używa nieraz opatrzność, aby poruszyć sumienie grzesznika i naprowadzić go na drogę poprawy, może poświadczyć także następujące zdarzenie, opowiedziane w pamiętnikach jednego z pierwszych poetów naszych zeszłego stólecia: „Ubogi szlachcic“ — opiewa dosłownie pamiętnik — „służąc za ekonoma u pana, którego zapomniałem nazwisko, człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu expensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został. Nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul nic więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana przystał do drugiego na takąż funkcyę. Po pólroczu dowiedział się pan stary gdzie się jego zbieg znajduje, i posłał podług prawa woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwom szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem iż nic się po nim nic zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana, opowiadając o śmierci zbiega, i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia iż kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało umarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła, kiedy trup mniemany, a którego pewnie krizis choroby uspiła była, ruszać się począł a wreście i wieko od trumny zrzucił. Czasyto były, w których najwięcej w upiory wierzono, i biedni chłopi zlękłszy się, w bliskie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniosł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił. Póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi niedowierzali, ale potem zbliżywszy się i poznawszy że w istocie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy prosił najusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo ja, powiada, przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc za jego szkody. Dał się łatwo pan uprosić, i nazajutrz rano odesłał go do starego jego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju w tymsamym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącem, na stoliku list pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego, i potwierdziwszy że tensam jest, z krzykiem uciekł do drugiej izby, gdzie się i zamknął. On biedny prosić przede drzwiami zaczął, ażeby mu cieżki zaciągnioy dług darował. A on zza drzwi krzyknie zalękniony: „Ale wyjdź mi z domu! ale wyjdź mi z domu! ale precz!“ Poznano po wszystkich postrachach co się stało, i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.“

Rzadka jednomyślność. Wychodzący w Bydgoszczy niemiecki dziennik urzędowy opowiada następujące ucieszną anegdotę: „W miasteczku P. w Prusiech zachodnich żyje stary rabin żydowski, słynny na całą okolicę z głębokiej nauki talmudycznej i rzadkiej pobożności życia. Cała izraelicka gmina miasteczka nie może mu okazać dość szacunku i przywiązania, a niedawno umyśliła mu złożyć jakiś namacalny dowód swoich uczuć. Za radą pierwszego kupca w miasteczku postanowiono uczcić świątobliwego męża darem sporej beczułki wina, na którą po butelce mieli się składać wszyscy zamożniejsi członkowie gminy, aby w ten sposób każdy z nich miał wspólne prawo do wdzięczności pobożnego męża. Uchwalony zamiar przeszedł niebawem w wykonanie. Czciciele cnot uczonego rabina, garnęli się tłumnie do przygotowanej beczki, i każden wylał swoją cząstkę do środka, nagradzając skromność ofiary zdrojem najszczerszych i najhojniejszych życzeń. Gdy się beczka przepełniła po same brzegi czopa, odwieziono ją z wielką pompą i nowym przydatkiem najszumniejszych życzeń do mieszkania rabina. Przejęty wdzięcznością starzec, podziękował im najserdeczniej i kazał zanieść dar do piwnicy. Lecz któż sobie wyobrazi jego zdziwienie, gdy niezadługo zapragnąwszy pokrzepić się kieliszkiem wina, miasto zachwalonego trunku utoczył z beczki szklankę najczystszej wody. Osobliwsze to zjawisko dało się wyjaśnić wcale naturalnym sposobem. Każdy z szczodrych członków gminy wyrozumował, iż jeśli wszyscy inni wleją wino do beczki, tedy jedyna jego butelka wody nie wiele ujmie mu smaku. Każden mniemał iż sam tylko wpadł na ten koncept jenialny, a nie ważył się nawet pomyśleć aby ktoś inny prócz niego dopuścił się podobnego kroku.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*